

KAMIŁA GOSZCZYŃSKA

KWIAT DATURY

TOM II

PLOMIEŃ



K A M I Ł A G O S Z C Z Y Ń S K A

K W I A T D A T U R Y



T O M 2



P Ł O M I Ę Ń

Redakcja: Paulina Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Skład DTP: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Korekta: Natalia Kocot – Zyszczyk.pl
Projekt okładki: Bartosz Letkiewicz
Projekt mapy: Karolina Pietrzykowska
Druk: Totem.com.pl

Copyright © Kamila Goszczyńska, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-962436-7-6

Profile autorskie w sieci:

Facebook: Kamila Goszczyńska - pisarka

Instagram: @kamilagoszczynskapisarka

WERELDA



Puszcza

Na polanie przed ścianą boru pały się sarny. Gdy usłyszały nadjeżdżającą elfkę, spłoszyły się i zniknęły po paru susach w gęstwinie liści. Amber westchnęła, na co zmęczony rumak parsknął. Podjechała do linii drzew i wyczuła drganie powietrza. Puszcze Leathien chroniły zakłęcia wzmocnione po ostatnich atakach na siedzibę elfów. Od tamtej pory minęło niemal trzydzieści lat, lecz elfy nie czuły się wcale bezpieczniej. W obliczu ostatnich wydarzeń miały rację.

Amber wyciągnęła przed siebie dłoń, pochyliła głowę i wymamrotała pod nosem:

– *Hel moth, ye terith bele*, witajcie, nieśmiertelne drzewa, wpuście swoją córkę, Ireth.

Z początku nic się nie działo, ale po chwili las zaszumiał i powietrze przestało drgać. Ivardzki koń przytupnął w miejscu, gotowy puścić się cwałem przez łąkę w odwrocie. Nie było jednak takiej potrzeby. Elfka dała mu znak, by szedł naprzód. W Leathien wiedzano już o jej powrocie.

Puszcza była stara i wielu ludzi uważało ją za tajemniczą. W rzeczywistości nie rozumieli oni zachodzących w niej zjawisk. Zresztą nie mogli, gdyż niektóre zakłęcia czy czary istniały w niej,

zanim na te ziemie sprowadziła się rasa ludzka. Drzewa tutaj miały własne życie, były go świadome i wiodły je według swoich zasad. Nie potrafiły się przemieszczać, ale komunikowały się dzięki szelszczeniu liści, uginaniu gałęzi i śpiewom ptaków. Miały pamięć dawnych lat i były błogosławione. Nie wolno ich było ścinać. Na opał elfy wykorzystywały tylko zrzucone gałęzie żyjących lub te drzewa, które umarły. W zamian za to one chroniły elfie domostwo. Nie wiodły do niego żadna ścieżka ani żadne drogowskazy, ale każdy elf bezbłędnie do niego trafiał. W pewnym sensie było to miasto, ale tak zupełnie różne od ludzkich siedzib, że trudno się doszukać podobieństw. Dość, że wszystkie elfy leśne mieszkaly blisko siebie.

Amber jechała, wsłuchując się w szum dębów i starych buków. Przekazywały sobie niepokój, wyczuwały dym gdzieś z odległych lasów. Brzozy płakały po jakimś zmarłym elfie, ale nie potrafiły powtórzyć jego imienia. Ptaki, z pozoru zajęte swoimi sprawami, wydawały się czymś zdenerwowane, choć w puszczy panowały cisza i spokój. W oddali pracował dzięcioł, zięby wiły gniazdo na niewielkiej jarzębinie, strzyżyki się o coś kłóciły. Elfka czuła całą sobą, że puszcza jest inna, bardziej czujna i płocha.

Słońce wisiało już wysoko na niebie, kiedy las się przerzedził i Amber wjechała na drózkę ozdobioną pięknymi rzezbami bogów. Rumak przestraszył się pierwszej rzeźby i bryknął, ale tym razem elfka była na to przygotowana. Kiedy minęli już aleję posągów, wjechali na wybrukowany podjazd, na którym stukot kopyt konia stał się donośny. Nad podjazdem stały się misternie wykończone łuki okolone rzezbami przedstawiającymi bluszcz i kąkol. U końca tej alei stał elf ubrany w seledynowy strój, o jasnych włosach przytrzymanych opaską. U boku miał zawieszony miecz.

– *Hel moth*, Ireth – powitał ją. – Witaj z powrotem w Leathien.

– *Hel moth*, Regocie. Dobrze być znów w domu.

– Przyjechałaś na ivardzkim koniu.

Amber nie była pewna, czy to spostrzeżenie stanowiło bardziej wyraz zdziwienia, czy krytyki.

– Niestety, tylko on mi został.

Regoth zmarszczył brwi. Był stuletnim elfem i wojownikiem, wstąpił się w bitwie pod Middel swoim męstwem. Nie bez powodu pełnił teraz wartę u wjazdu do miasta. Wszyscy musieli czuć zbliżające się zagrożenie.

– Czy mój sokół dotarł do króla? – zapytała.

– Tak. Piękny ptak, swoją drogą.

– Piękny prezent. Do zobaczenia!

Regoth zapewne wierzył, że ptaka podarował jej jakiś zakochany w niej po uszy żołnierz. W Leathien była dla elfów nieodgadniona. Kiedy tylko wyjeżdżała, rodziły się plotki. Jej przywiązanie do ludzi wydawało się większości niedorzeczne, dlatego uznawali, że się bawi ludźmi. Niektórzy uważali, że ma niczym niepoparte poczucie misji ratowania ludzkiego życia i ludzkich siedzib. Tylko nieliczni ją rozumieli.

Skręciła konia i pojechała prosto do domu. Jechała alejką obrosniętą dziką różą. Krzewy były obsypane jasnoróżowymi pąkami. Ilekroć przemierzała to miejsce, miała wrażenie, że posadzenie tu roślin z kolcami to nie przypadek. Kiedy jako dziesięcioletnia elfka jechała tą alejką z ojcem, niemal czuła ciernie kłujące jej skórę. Powrót tutaj oznaczał wiele wyrzeczeń, bycie szczęśliwą do połowy. Wtedy zostawiła za sobą ludzki świat, który szczerze pokochała, teraz jednak wydawał się jej on jeszcze okrutniejszy niż ten, w którym się narodziła, ale dochodziła do mglistego przekonania, że pełen cierni jest tak naprawdę jej los, nie światy ludzi czy elfów. W samym Leathien mieszkało mnóstwo szczęśliwych elfów

umiejących korzystać ze swoich nieśmiertelności i mądrości. Tylko ona czuła, że tu nie pasuje. Przez pół drogi wydawało się jej, że tutaj odnajdzie spokój i uciszy skołatane myśli. Jadąc różaną alejką, doszła do wniosku, że wcale jej to nie pomoże. To, co przeżyła, na zawsze w niej pozostanie i nikt ani nic nie jest w stanie tego z niej wymazać. Pod koniec podróży alejką miała już tylko nadzieję, że ucieszy ją chociaż widok ojca i że potem będzie musiała się udać do króla Hethiela na poważną rozmowę o sytuacji w Wereldzie.

Wyjechała na polanę i oślepiło ją słońce. Gdy jej oczy przyzwyczaiły się do światła, zobaczyła pośród młodej trawy całe dywany fioletowych przylaszczek. Nieopodal stał dom. Ganek ozdobiony był łukami z pnącymi się wiciokrzewami o białych kwiatach. Spadzisty dach pokryto dachówką z gliny. Półkoliste wejście ukryte było w cieniu werandy. Siedziała na niej w wiklinowym fotelu elfka w białej sukni. Amber od razu rozpoznała w niej matkę. Zsiadła z konia i poprowadziła go ku domowi. Kiedy podeszła blisko, wspięła się po trzech marmurowych, niemal białych schodach i podeszła do matki. Kenaé siedziała zaczytana nieruchomo. Miała piękne rysy. Włosy koloru żywicy połyskiwały jej w słońcu. Pochylona nad lekturą nieznacznie poruszała wargami, widocznie powtarzając to, co właśnie przeczytała. Dłonie trzymające książkę miała długie i zakończone kształtnymi paznokciami. Na lewej ręce widniała cienka różowa linia – blizna powstała na skutek upadku wiele lat temu, gdy uciekała przed Ivardczykami. Kenaé nienawidziła tej blizny, gdyż ją oszpecała i przypominała jej o strachu, który przeżyła, sądząc, że straci córkę, oraz o walce ze śmiercią, którą przyszło jej stoczyć. Amber również nienawidziła tej skazy, ale dlatego, że uświadamiała jej, jak wielkie nadzieje matki sama zawiodła i jak wielkie jej poświęcenie zmitrzężyła. Nie potrafiła zmienić własnego losu i nie potrafiła ukrywać uczuć do swojej

ludzkiej rodziny. Swego czasu to najbardziej przekonało Kenaé, iż jej młodsza córka nie pasuje do Elfów Wysokich, z których sama się wywodziła. Teraz Amber dostrzegła ogromne podobieństwo między matką a jej siostrą, Mavé – i to nie tylko w wyglądzie. Nawet podczas lektury miała wyniosłą postawę. W białej sukni podkreślającej jej szczupłe ramiona i krągłe piersi wyglądała bardziej jak bogini z posagu niż elfia matka oczekująca na powrót swojego dziecka. Kto wie, może zawsze tak było.

Amber postąpiła ku niej dwa kroki i przyklękła, mówiąc:

– *Hel moth*, matko.

Kenaé uniosła głowę i spojrzała na córkę swoimi ciemnymi oczami okolonymi siecią rzęs. Jej wargi drgnęły w lekkim uśmiechu.

– Ireth, zaczytałam się i cię nie dostrzegłam. *Hel moth*. Musisz być strudzona po podróży.

– Jestem – odparła, wstając. – Ale nim odpocznę, muszę się spotkać z królem.

– Ach – westchnęła Kenaé – znów ten strach. Król pojechał na zachód puszczy. Ma wrócić jutro.

Amber zabiło szybciej serce. Może jednak nie zignorował jej wiadomości i postanowił sam zbadać zachodnią granicę.

– Jesteś sama? – zapytała Amber.

– Ojciec zaraz tu będzie. Twoje przybycie wywołało go z polowania. A Vestia spaceruje gdzieś po lesie. Jest ostatnio bardzo melancholijna.

– Przygotuję się na spotkanie z nimi.

– Koniecznie – stwierdziła Kenaé, patrząc z pogardą na brudny strój córki.

Amber wróciła do konia, rozsiodła go i puściła na łąkę. Ruk najpierw wlepił w nią swoje czarne oczy, jakby się dziwiąc, ale po chwili radośnie pobiegł w stronę soczystej trawy. Elfka

tymczasem odwróciła się na pięcie i zobaczyła jadącego ku niej z lasu ojca. Dosiadał pięknej, gniadej klaczy rasy Areth i machał do córki z daleka. Zwinnym ruchem zsiadł z konia i do niej podbiegł. Rozpostarł ramiona i Amber przytuliła się do niego. Znów poczuła się jak małe elfiątko.

– Ireth, moja droga córka! – zawołał. – Mam wrażenie, że cię nie było wieki.

– Cóż, nie jestem aż tak stara.

– Co powiesz na powitalną ucztę dziś wieczorem?

– Nie, proszę, nie róbmy zamieszania.

Ithiel przyjrzał się jej uważnie, po czym spoważniał.

– Nie przyjechałaś na długo, prawda?

– Prawda. Niedobre rzeczy dzieją się dookoła.

– Musisz mi opowiedzieć. A gdzie twój rumak Areth?

– Nie żyje. Ratował mnie przed nożozwierzem. Nie on jeden zresztą.

Nie potrafiła uciec od gorzkiej nuty w głosie. Wiedziała jednak, że ojciec jest gotów wysłuchać całej opowieści z zaciekawieniem i nie będzie jej osądzał. Samo jednak wspomnienie jej wybawcy tak ją ukuło, że aż zrobiło jej się niedobrze. Zdecydowanie czuła się gotowa na takie opowieści. Postanowiła opowiedzieć ojcu wszystko, co musi wiedzieć, i pominąć jej własne rozterki. Matka byłaby z niej dumna.

Weszła do kamiennego domu. Każda ściana miała wymyślne wzory bazujące na zakręconych liniach układających się w kwiaty. Gdy przyjechała tu po raz pierwszy, uderzył ją ich chłód. Były piękne, lecz martwe, wyryte w białym marmurze na wieki. Być może matka urządziła dom w ten sposób, by choć trochę przypominał jej Kamienne Miasto, w którym się urodziła. Pośrodku salonu stał mocny, dębowy stół z rzeźbionymi nogami przedstawiającymi

kończyny jeleni. Z salonu wchodziło się do pokojów. Po prawej była sypialnia rodziców urządzona w różowym marmurze, na wprost znajdował się pokój Vestii, siostry Amber, utrzymany w fioletach i łudząco przypominający lawendowy domek ciotki Mavé. Na lewo łukowate drzwi prowadziły do pokoju Ireth. Weszła do niego powoli. Drzwi skrzypnęły cicho. Panował w nim półmrok, gdyż świerk pod oknem jej pokoju przez lata zdążył się rozrosnąć. Nie przeszkadzało jej to. Zielone ściany, także z marmuru, w półmroku bardziej przywodziły na myśl wnętrze jakiejś groty niż pokój córki dwojga znamienitych elfów. Wiklinowe łóżko zasłane muslinem zachęcało do odpoczynku. Stolik z jasnego drewna stojący pod oknem był odkurzony, a flakoniki z perfumami i książki leżały na nim nietknięte, tak jak je zostawiła, gdy wyjeżdżała. *Więc nie wszystko się zmienia* – pomyślała z przekąsem.

Niewiele myśląc, odwróciła się do szafy i wyciągnęła z niej pierwszą lepszą suknię. Padła na jasnofioletową, zwiewną, ze wstążkami na rękawach. Wzięła ją pod pachę i puściła się pędem przed siebie. Drogę do jeziora znała na pamięć. Nieopodal ich domu był mały wodospad wpadający do niewielkiego jeziora. Prędko się rozebrała i rozplatając warkocz, wskoczyła do wody. Była przyjemnie ciepła i kojąca. Amber zanurzyła się cała i otworzyła oczy, wstrzymując oddech. *Ile jestem w stanie znieść?* – zadała sobie pytanie. Przyjrzała się swojej lewej dłoni i nagle zobaczyła na niej wytatuowany kwiat datury. Otworzyła usta, chcąc krzyknąć, i zakrztusiła się wodą. Wypląnęła, kaszląc.

– Ireth! – krzyknął ktoś z brzegu.

Amber ujrzała siostrę. Zerknęła ponownie na swoją rękę, ale jasna skóra tylko iskrzyła się w świetle słońca, ociekając wodą. Elfka otrząsnęła się i podплыnęła do brzegu.

– Chcesz się zabić? – spytała Vestia.

– Witaj, Vestio. Kuszący pomysł, ale nie.

– Długo tu jesteś?

– Przyjechałam w południe. Podaś mi suknię?

Amber wyszła z wody. Siostra przyjrzała jej się z zaciekawieniem, podając ubranie.

– Masz świeżą bliznę na ramieniu. Skąd?

– A jak myślisz? Idzie wojna, siostrze. Walczyłam z Ivardczykiem w Febste.

– I co? Wygrałaś?

– Powiedzmy.

Amber włożyła suknię i od razu poczuła się dziwnie. Zawsze tak było, gdy długo nie nosiła takiej garderoby. Poprawiła wstążki na ramionach i głęboko wciągnęła powietrze. Jeśli jej czegoś brakowało, gdy wyjeżdżała, to właśnie tego zapachu rzeńskiego powietrza omiatającego korony drzew i kielichy kwiatów. Rozczesała włosy i przyjrzała się siostrze. Miała na sobie beżową suknię ozdobioną tysiącem wyszywanych gałązek. Jasne włosy upięła z tyłu złotą klamrą, a na nogach miała złote buciki. Była podobna do matki znacznie bardziej niż Amber. Miały identyczny odcień oczu – brązowy, nieco rozwodniony, iskrzący się w słońcu. Vestia była jednak smutna i mniej wyniosła od Kenaé.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Amber.

– Co? Matka ci coś mówiła?

– Nie, tylko coś o melancholii, ale widzę, że jesteś przygaszona.

– Ty też nie tryskasz radością.

– Mam nadzieję, że masz lepszy powód niż ja.

Siostry spojrzały na siebie przenikliwie.

– Chociaż jesteś ode mnie młodsza o tyle lat – odezwała się po chwili Vestia – mam czasem wrażenie, że jesteś ode mnie dojrzalsza.



– Proszę – powiedział Ithiel, podając Amber szal. – Wieczory są jeszcze chłodne.

– Dziękuję – odparła, siadając na skrytej w cieniu wierzby wielkiej ławce z rzeźbionymi poręczami i oparciem.

– Tu możemy spokojnie porozmawiać. Opowiedz mi, co się dzieje w Wereldzie.

Amber opowiedziała o turnieju i przekazaniu królowi Medardowi wiadomości o widzeniu Liserii, o spotkaniu Ledgena i tropieniu przemytników broni, o walce w jarze w lesie i odkryciu spisku, o wizycie w Kamiennym Mieście i podróży do Middel. Potem streściła list od króla Medarda wzywający na naradę i powiedziała, jak się tam dostała.

– Po drodze zdarzyła się dziwna rzecz – oznajmiła. – Ojczy, czy ty kiedykolwiek słyszałeś o *liletih*?

Ithiel wyprostował się dumnie i zamyślił, po czym odparł:

– Tak, to legendarne istoty wyczuwające magię, ale niewalczące nią.

– Słyszałeś, co się dzieje, gdy jakiś mag zaatakuje *liletih*?

– Owszem. Ponoć moc ataku odbija się od *liletih* i uderza w przeciwnika ze zdwojoną siłą.

– A czy znasz jakiegoś *liletih*?

– Nie znam, to legenda. Dlaczego o to pytasz? Co się wydarzyło po drodze do Antis?

– Otóż, jakkolwiek niedorzecznie to zabrzmie, czy istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że jestem *liletih*?

Niebieskie oczy elfa pociemniały. Być może był to efekt zapadającego zmierzchu, a może tak go to pytanie poraziło. Przyglądał się córce, szybko mrugając. W końcu zapytał:

– Dlaczego o to pytasz?

Amber się zastanawiała, jak wiele może ojcu powiedzieć, ale był on jedynym elfem, który potrafił ją zrozumieć, więc opowiedziała mu o mrowieniu w karku w grocie maginy Rutę oraz o niespodziewanym przebiegu ataku Geruth na zamku. Chciała wiedzieć, co Ithiel o tym wszystkim sądzi, bo, choć nie do końca wierzyła w swoje zdolności, musiała przyznać przed samą sobą, że rzeczywiście dość dużo się ostatnimi czasy w jej życiu działo. Elf słuchał w skupieniu, wyraźnie coś analizując.

– Ojcze, to nie wszystko. Czy wiedziałeś, że mój miecz, ten, który dla mnie ukuto w górach, jest *mesthi*?

Ithiel w odpowiedzi westchnął. Amber zmarszczyła brwi. Czyżby coś przed nią ukrywał?

– Ojcze? – ponagliła go.

– A więc się zaczyna – wymamrotał wpatrzony w ostatnie promyki słońca tańczące między liśćmi.

– Co się zaczyna?

– Drzewo Uk dało ci najwyraźniej zdolności, o których nikt z nas nie miał pojęcia. A co do miecza: wiedziałem.

– Wiedziałeś i milczałeś?

– Wybacz, córko. Miecz przeznaczenia otrzymywali wielcy wojownicy, mający zmienić dzieje Wereldy. Bardzo się zdziwiłem, gdy otrzymałaś taki miecz. Ale sam Omrath powiedział mi wtedy, bym się o ciebie nie lękał, bo jeśli bogowie cię do czegoś wybrali, pomogą ci to spełnić.

Amber zrobiło się gorąco. O czym oni rozmawiali? Czy jej ojciec oszalał?

– Co ty mówisz? – zapytała. – Omrath?

– Tak, był przy przekazaniu ci miecza. Powiedział mi, że gdy kował kuł go dla ciebie, nagle spod młota poleciały niebieskie

iskry i opadając na klingę, zastygły w takim wzorze. Kował nie śmiał przekuć miecza, więc oddał go właśnie takim.

– Ojcie, miecz wcale nie musiał być dla mnie. Mógł być dla kogokolwiek.

– Nie, Ireth, był dla ciebie. To był dokładnie ten miecz.

Ithiel siedział zapatrzony w dal. Elfka poczuła irytację. Stąpała twardo po ziemi i te najnowsze rewelacje zbiły ją z tropu. Zupełnie nie przyjmowała do wiadomości, że ma być w jakimkolwiek sensie wyjątkowa. Czuła się inna, ale w znaczeniu odmienca, nie wybrańca, zwłaszcza bogów. Niezwykłe umiejętności odbijania magii wydawały jej się wybrykiem natury, tak podobnym do niej samej. Bycie jednak wybranką bogów, tryskające niebieskie iskry czy w ogóle fakt posiadania przez nią tak niezwykłego ostrza wydawały jej się kompletnie nieracjonalne. Zaduma Ithiela zdenerwowała ją nadto, gdyż nagle się okazało, że jej mądry ojciec rozważał teraz te wymysły z najwyższą powagą.

– Ojcie, chyba w to nie wierzysz?

– Dlaczego z rasy Areth wybrał cię ogier?

– Nie wiem, miał taką ochotę.

– A co z magią? O tym nie wiedziałem.

– To może przypadek, nie traktuj tego jako dowód.

– A drzewo Uk?

Ten cały dzień pod drzewem Uk nie dawał jej spokoju, odkąd się o nim dowiedziała. Miała wiele teorii, na przykład że drzewo było spragnione z powodu suszy lub że było chore. Nigdy nie pomyślała o sobie przez to inaczej. Dla ojca stanowiło to jednak najwyraźniej kolejny argument, że coś się zaczyna.

– Pójdiesz ze mną do maga Argosa? – zapytał po chwili.

Stary elfi mag mieszkał na północnym skraju puszczy. Mówiono o nim dziwne rzeczy. Wspominano między innymi, że zdzczał

przez samotność i warzenie mikstur i że nawet król rzadko go odwiedzał. Nie jawił się jako postać gościnna, ale Amber chciała mieć ostateczny dowód na posiadanie zdolności *liletih*.

– Do maga pójdę, ale o reszcie nie mów nikomu. Co ma być, będzie.

Ithiel w zamyśleniu przytaknął.



Dzień był bardzo ciepły i pogodny. Kiedy wychodziła z domu, matka obrzuciła ją trudnym do zinterpretowania spojrzeniem mogącym wyrażać pogardę i troskę jednocześnie. Amber nie pozwoliła sobie zapleść warkoczy ze wstążkami, więc i Vestia wyglądała na naburmuszoną. Z radością opuściła polanę. Przeszła kolejną różaną aleją w kierunku mieszkań innych elfów. Szła boso, uśmiechając się do siebie, radosna, że jest wolna jak nigdy przedtem. Minęła zbudowane z gałęzi, liści i mchu domostwa żołnierzy mieszkających w koronach drzew. Latem sypiali w hamakach rozwieszonych między gałęziami, co wyglądało bajkowo. Kilku rozpoznało w dziewczynie w zielonej sukni wojowniczkę Ireth i pozdrowiło ją skinieniem głowy. Jeden z nich zawołał:

– Hej, Ireth, przyjdź po południu z mieczem! Zmierzymy się!

– Dobrze, Ethisie, przyjdę! – To powiedziawszy, pobiegła dalej.

Często ćwiczyła z tym młodym, jasnowłosym elfem. Po kryjomu kochał się w Vestii, ale nigdy jej tego nie wyjawiał. Amber lubiła jego żywiołową naturę i pomysłowość w pojedynkowaniu się. Zawsze ją czymś zaskakiwał i ćwiczenia z nim niejednokrotnie wymagały od niej sporej zręczności. Ceniła te lekcje, więc rzeczywiście zamierzała się z nim spotkać.

Szła tymczasem po gęstym, miękkim mchu między domami zbudowanymi z kamienia, z łukami i rzeźbionymi fasadami. Miały różnokształtne okna, w których powiewały jedwabne franki w kolorze popielatym. Patrząc z daleka na te budynki, można by pomyśleć, że widzi się głązy obrosnięte mchem. Dopiero z bliska oczom ukazywały się misterne płaskorzeźby, wykręcone łuki, wyrzeźbione z wielką precyzją konary drzew i kwiaty. Wszystko to sprawiało wrażenie lekkości i ulotności i zdawało się, że byle podmuch może porwać ten cały nierzeczywisty świat.

Minęły ją trzy elfy w dostojnych strojach i z łukami na plecach oraz dwie elfki cicho rozważające pogodę. Spojrzały na Amber z ukosa, nie przerywając konwersacji.

Wreszcie dotarła do pałacu, parterowego i również wzniesionego z kamienia. Aleję prowadzącą do wejścia wyłożono połyskującym granitem. Wydał się Amber nieprzyjemnie zimny w porównaniu z mchem. Wyjęła więc spod pachy dwa trzewiki i dalej stuknęła już obcasami po kamiennej posadzce. Kiedy doszła do marmurowych schodów, owionął ją ciepły wiatr. Wiosna była już w pełni i podmuch przyniósł duszący zapach bzu. Weszła po schodach i stanęła na ogromnym tarasie. W marmurowych donicach kwitły białe ciemierniki i bordowe szachownice. Postąpiła krok naprzód i ujrzała zmierzającego w jej kierunku Regotha.

– Witaj. Król prosił, bym cię do niego zaprowadził.

W milczeniu skinęła głową i poszła za nim. Była w tym pałacu kilka razy, mimo to przyglądała mu się znów z zaciekawieniem. Wydawał się bardzo przestronny. Wielkie okna wpuszczały mnóstwo światła ogrzewającego marmurową posadzkę. Korytarze ozdobiono malowidłami przedstawiającymi boginię Artele na ucztach, tańcach i swawoleniu oraz rzeźbami w kształcie różnych

leśnych zwierząt. W całym pałacu unosiła się woń bzu, który królowa Tivena uwielbiała.

W końcu Regoth się zatrzymał i kazał Amber poczekać. Sam zaś zniknął za zdobionymi złotem drzwiami. Elfka rozejrzała się po komnacie. W niebiesko-złotych wazonach stały fioletowe, bordowe i białe bzy roznoszące słodki zapach. Na fioletowym bukiecie przysiadły dwie pszczoły. Zbliżyła się do nich, podziwiając żarliwość w zbieraniu pyłków, a wtedy ogromne drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Regoth.

– Możesz wejść, król czeka – powiedział beznamiętnie.

Weszła do komnaty oświetlonej wpadającymi przez podłużne okna promieniami słońca. Przy jednym z okien stał król z rękami złączonymi z tyłu, zapatrzony w dal. Amber zastukała obcasami po posadzce, po czym uklękła pośrodku. Hethiel się odwrócił i spojrział ze zdziwieniem na elfkę.

– Ireth, dziecko, wstań. Musimy porozmawiać.

Wskazał jej dłonią fotel wyłożony atlasową tkaniną w kolorze śliwkowym. Sam usiadł na podobnym. Był wiekowym elfem, o jasnej karnacji i białych włosach, wysokim i dumnym. Świetnie władał bronią i nie miał sobie równych w łucznictwie. Kiedyś nawet sam szkolił elfy do walki. Ubierał się prosto i bez przepychu. Tego dnia nosił brązową tunikę i jedwabne zielone spodnie. O jego funkcji świadczyła korona ze szczerzego złota z cienkimi listkami srebra opadającymi na skronie i z iskrzącym się brylantem w centralnym jej punkcie.

– Napijesz się naparu Yud? – spytał.

Przytaknęła. Natychmiast podeszła do niej piękna ciemnowłosa elfka z filiżanką w jednej ręce i czajniczkiem w drugiej. Kiedy nalała napar, król rozkazał jej zostawić imbryk i opuścić salę, co wykonała w milczeniu. Gdy zostali we dwoje, Hethiel poprosił

Amber, by opowiedziała o jej podróży do Middel i naradzie. Elfka starała się rzetelnie przedstawić wydarzenia, ponownie pomijając wątki osobiste oraz kłótnię Elfów Wysokich z krasnoludami z Gór Cichych podczas pierwszego dnia obrad. Kiedy skończyła, król powiedział:

– Bardzo dobrze się spisałaś, młoda elfko.

I zamilkł pogrążony w rozmyślaniach. Amber piła napar w oczekiwaniu na to, co jeszcze powie władca. Wreszcie westchnął i wyznał:

– Martwię się.

Na jego czole zauważyła bruzdę. Minę miał zafrasowaną i przyglądał się elfce z uwagą.

– Byłem na zachodzie. Drzewa są tam niespokojne, znać próby ich wycinania. Znaleźliśmy też nadpalone ciała kilku Ivardczyków próbujących przejść przez osłonę zaklęć. Twój list również mnie zaniepokoił. Chcę, abyś wiedziała, że wysłałem oddział zbrojny do Lefe.

– Dziękuję, panie. Czy postanowiłeś też coś w sprawie Drugiego Sojuszu z Antis?

Król westchnął.

– Ireth, jesteś młodą elfką i choć czasem myślę, że wiesz więcej niż niejeden z moich żołnierzy, musisz zrozumieć, że nie wolno nam się w tę wojnę mieszać.

– Panie... – Amber spojrzała Hethielowi prosto w oczy. – Ta wojna przyjdzie do nas. Nie uchronią nas zaklęcia, jeśli mag Yef znajdzie na nie sposób. Co wtedy zrobimy? Znów uciekniemy ku osadom ludzkim jak moja matka? Królu, tych osad już nie ma. Widziałam straszne rzeczy. Zgwałcone, zarżnięte kobiety, męczyn z wywleczonymi wnętrznościami, zwęglone dzieci. Domów też już nie ma. Spalono całe wsie. Musimy być gotowi do walki.

– Możemy odejść do Doliny Domerth.

– I uciec? Czyż bogowie nie kazali pierwszym elfom opiekać się ludźmi?

– Ireth, ludzie walczą z ludźmi.

– A co z elfami z Korien? Jak wytłumaczyć zdradę Vivelina? Te elfy, które z nim były, uważały, że pod Middel stanęły po niewłaściwej stronie. Świat się podzielił. Albo jesteśmy z ludźmi, albo przeciwko nim.

– Patrzysz na to zbyt emocjonalnie.

Amber poczuła ukłucie wstydu. Mówiła przecież o swojej rodzinie z Runden. Mówiła o tych, których spotkała i polubiła.

– Czy zatem pozwolimy, by Ivard pustoszył wsie i zabijał ludzi tuż pod naszym nosem? – uniosła się.

Król jednak nic nie odpowiedział. Dopiero po dłuższej chwili się odezwał:

– To jeszcze nie jest postanowione.

Amber wzięła spory łyk naparu Yud. Był mniej słodki niż ten w Kamiennym Mieście, a po tych słowach króla zasmakował jej nawet goryczą. Wiedziała, że nic więcej nie może powiedzieć. Tego się zresztą obawiała. Hethiel był nieugięty. Nie kierował się żadnymi emocjami, był na to za stary i zbyt doświadczony. Czuła jednak, że tym razem w Wereldzie dzieje się coś złego, coś, co przeczuwała królowa Leliah. Na razie zło było nieodgadnione, lecz czaiło się bardzo blisko.

– W każdym razie – odezwała się po chwili ciszy – wojna zacznie się tu, na północy.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zdziwił się król.

Przemknęły jej przed oczami ostatnie spotkanie z Orfenem i ta scena, gdy stał w drzwiach. Powiedział, że ją kocha, a potem kazał jej jechać na północ. Ale czy mogła się przed kimkolwiek przyznać, że była kochanką ivardzkiego szpiega? Czy mogła komukolwiek

powiedzieć, jak bardzo tęskni do jego ramion? I jak bardzo się za to nienawidzi?

– Nie mogę wyjawić – odparła w końcu – ale to pewne.



Amber jednym susem wskoczyła na zwalone drzewo i cięła mieczem mocno z prawej. Ethis uniknął ciosu i znalazł się tuż obok niej na kłodzie. Starli się w ataku, balansując ciałami, by nie spaść. Srebrne klingi odbijały czerwoną łunę zachodzącego słońca. Ethis uśmiechnął się szeroko i ciął teraz z dołu. Elfka podskoczyła, unikając zetknięcia z ostrzem przeciwnika. Zwinnie przerzucił sobie miecz do lewej dłoni i ponownie zaatakował od dołu. Tym razem Amber odparowała cios z taką siłą, że elf spadł z kłody. Zrobił w powietrzu piruet i zaraz wylądował bez szwanku.

– No chodź! – zawołała elfka.

Podbiegł z mieczem do Amber, ale ta w ostatniej chwili chwyciła się zwisającej gałęzi. Wisząc na niej, zamachnęła się obiema nogami i zasadziła elfowi kopniaka w tułów. Od impetu uderzenia Ethis ponownie się przewrócił. Wtedy Amber błyskawicznie puściła się gałęzi, zeskoczyła z kłody i zanim elf zdołał wstać, przyłożyła mu klingę do gardła. Przyglądające się elfy umilkły. Ethis roześmiał się głośno, ukazując rząd białych zębów.

– No, no – zawołał. – Nie zazdroszczę Ivardczykom, którym przyjdzie z tobą walczyć.

– Wstawaj, niedorajdo – powiedziała Amber, również się uśmiechając. – Gdyby nie bolało mnie jeszcze ramię, szybciej bym cię wykończyła.

– Akurat, po prostu wyszłaś z wprawy.

Ethis wstał i schował miecz do pochwy.

– Walczysz bardziej zajadłe niż kiedyś. Przez to nie kontrolujesz techniki – powiedział. – Kogoś sobie wyobrażałaś?

– Nie chcesz wiedzieć – odparła elfka, także chowając swoją broń.

Nie każdy Ivardczyk jest zły – przypomniało się jej. Usiadła na zwalonym pniu i przyjrzała się szkarłatnemu słońcu. Ethis, nie przestając się uśmiechać, dołączył do niej.

– Naprawdę wierzysz, że będzie wojna? – zapytał.

– Będzie. Już jest.

– Więc powinniśmy więcej ćwiczyć.

– Ethisie, kogo opłakują brzozy?

Spochmurniał.

– Usłyszałaś? Unduha. Został znaleziony tydzień temu na granicy puszczy. Z sześcioma strzałami w ciele.

– Ivardczycy?

Elf przytaknął.

– Ale Endos żyje – dodał od niechcenia.

Amber zamarła. Endos... To imię już dawno nie pojawiało się w jej głowie. Brzmiało nieprzyjemnie jak szcęk żelaza i chłodziło ją niemal jak obojętny na wszystko marmur.

– Dlaczego o nim wspomniałaś? – spytała zmienionym głosem.

– Bo on wciąż na ciebie czeka.



Była na siebie zła, że się w ogóle zgodziła na tę rozmowę. Nawet matka spytała ją przy śniadaniu, czy zamierza się z nim spotkać. Właściwie nie zamierzała, ale potem sobie uświadomiła, że nie powinna uciekać przed prawdą. Musiała z nim porozmawiać i raz na zawsze mu wszystko wyjaśnić. W nocy źle spała, co nie było dla

niej zaskoczeniem, ale – co gorsza – śnił jej się Orfen ratujący ją ze zgłiszczy i obudziła się złana potem. Przynajmniej we śnie znów mogła dotknąć jego szorstkiej skóry. Tęskniła za nim codziennie. Nie rozumiała tego i wcale nie chciała. W ciemnym pokoju z zielonego marmuru czuła, że marznie i że za oknem zaczyna się jesień. Tymczasem w rzeczywistości śpiewał słowik i przez uchylone okno wpadało ciepłe powietrze. Źle się czuła i gdy tylko nastał świt, podniosła się z łóżka. Kolejne wybawienie.

Wiedziała, gdzie go znaleźć. Zawsze o poranku ćwiczył strzelanie z łuku na polanie Strzelców. Była rozkojarzona i w połowie drogi zauważyła, że przez pomyłkę wzięła ze sobą łuk ojca. Był cięższy niż jej, nie lubiła z niego strzelać. Postanowiła jednak nie wracać do domu, bo drugi raz mogłaby się nie zdecydować tam pójść. Z reguły rzadko używała łuku, przedkładała ponad niego kuszę, lecz tym razem miał jej posłużyć za pretekst do spotkania.

Kiedy weszła na zacienioną polanę, zauważyła kilka elfów mierzących do drewnianych tarcz. Pomiędzy nimi przechadzał się Endos i dawał pozostałym wskazówki.

Miał ciemne włosy i radosne spojrzenie, postawę zaś – wyniosłą i wyprostowaną, a na karku – czterdzieści osiem lat. W popielatym stroju wyglądał dostojnie. Amber wzięła głęboki oddech i ruszyła ku elfom.

– *Hel moth!* – zawołała.

Powitały ją skinieniem głowy, a Endos podniósł na nią wzrok i znieruchomiał na chwilę.

– Ireth – powiedział w końcu z uśmiechem. – Przyszłaś.

– Przyszedłam poćwiczyć, jeśli mogę.

– Proszę.

Zdjęła łuk z pleców i wyciągnęła z kołczanu strzałę. Łuk był ciężki i nieporęczny. Złapała go zdecydowanie i naciągnęła cięciwę.

Endos patrzył w milczeniu. Przymierzyła i zwolniła cięciwę. Strzała świsnęła i po chwili wbiła się z boku tarczy. Elf zmarszczył brwi.

– Chcesz, żebym cię podszkolił? – zapytał.

– Nie. Chcę, żebyś ze mną porozmawiał.

Wzięła kolejną strzałę i znów napięła cięciwę. Wypuszczona strzała obróciła się wokół własnej osi i uderzyła w dół tarczy.

– Bardzo chętnie, wiesz o tym – powiedział Endos. – Cieszę się, że wreszcie wróciłaś.

– Wróciłam i znów wyjeżdżam – odparła sucho, biorąc następną strzałę.

– Więc o czym chcesz rozmawiać?

Tym razem strzała wbiła się precyzyjnie w środek tarczy.

– O nas. Chodźmy stąd.

Szli dróżką wzdłuż strumienia. Jego dźwięk przyjemnie uspokajał.

– Słucham cię, mów – zachęcił Endos.

Amber nie chciała go ranić, ale nie było innego sposobu, więc zaczęła:

– Wiem, że za każdym razem, kiedy wracam, wydaje ci się, że już tu zostanę. Widzisz, jest jednak inaczej. Zawsze będę zawieszona pomiędzy dwoma światami i nie potrafię z żadnego z nich zrezygnować.

– Zakochałaś się w człowieku?

– Nie ma znaczenia, w kim się zakochałam. – Celność jego spostrzeżenia ją powaliła.

– Człowiek umrze. Jeśli masz być przez to szczęśliwsza, poczekam.

– To niedorzeczne. – Nie mogła uwierzyć, że to powiedział.

– Ireth, znasz moje uczucia.

– Znam, ale...

– Przecież cię nie poспieszam. Mamy czas. Kiedy będziesz gotowa, wyjdiesz za mnie.

– Nie, Endosie, o to właśnie chodzi. – Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy. – Nigdy za ciebie nie wyjdę.

W jego oczach pojawił się żal.

– Twoja matka mówiła...

– Moja matka bardzo by chciała, żebym była inna. Ale nie jestem. Nie mogę się z tobą związać i czas, żebyś to wiedział. Czekanie na mnie nie ma sensu. Przykro mi.

Endos był w niej zakochany od dziesięciu lat. Ciągłe bez wzajemności. Poznali się, gdy przybyła do Leathien. Kiedy się okazało, że ma talent do walki, zaczęto ją szkolić w łucznictwie. Dawał jej pierwsze lekcje, zaraz po ojcu. Amber ceniła go jako elfa, ale nie wyobrażała sobie z nim być. Kenaé pochwalała ten związek i miała wielką nadzieję, że jej młodsza córka nie zaprzepaści szansy dobrego zamążpójścia. Amber jednak czuła, że nie może dłużej udawać. Doceniała jego cierpliwość. Pocałował ją tylko jeden raz, nie oczekując nic więcej. Miał wobec niej czyste zamiary, nigdy jednak nie zadał sobie trudu, by ją lepiej poznać. Był świetnym łucznikiem, ale go nie kochała. Nie chciała, by na nią czekał, by trwonił na nią czas. Miał prawo do szczęścia, więc pragnęła, by ją zrozumiał. Przychodziło mu to jednak z trudem.

– Wiesz, że bylibyśmy dobrym małżeństwem – powiedział.

– Nie, Endosie, fatalnym. W ogóle się nie znamy.

– Wiem, co powinienem.

– Nic o mnie nie wiesz. Żyjesz tu, w tym wielkim królestwie, zamroczony swoją nieśmiertelnością i mądrością, ale mnie nie znasz.

Endos milczał. Słyszeć było szemrzący strumyk i ptaki świergoczące wśród gałęzi. Jeśli coś czuł, to nie dał tego po sobie poznać. Wreszcie zapytał:

- Więc nie?
- Nie.
- Rozumiem. Muszę wracać do ćwiczeń. Życzę ci szczęścia.
- Wzajemnie.

Uklonił się i odszedł miarowym krokiem. Nawet nie wyglądał na wzburzonego. Amber odetchnęła, choć wcale nie czuła się lepiej. Krzywdzenie innych nie leżało w jej naturze. Dotarło do niej jednak, że musiała to zrobić, aby wreszcie być wolna, aby wziąć życie w swoje ręce. Jeżeli rzeczywiście była prawowitą właścicielką miecza *mesthi*, jej los i tak był już ustalony, ale mogła przynajmniej dysponować swoim życiem, dopóki runy na mieczu nie dadzą się odczytać.



Wyruszyli nad ranem, zaraz po śniadaniu złożonym z chleba, masła i miodu pszczelego. Kenaé machnęła im tylko dłonią na pożegnanie, pochłonięta znowu jakąś lekturą. Vestia siedziała w swoim pokoju, twierdząc, że coraz ostrzejsze słońce źle działa na jej cerę. Amber i Ithiel dosiedli koni i ruszyli na północ. Siedziba maga Argosa znajdowała się niemal na skraju puszczy i była już owiana legendami. Ponoć strzegło jej siedem dzikich wilków gotowych zagryźć każdego, kto zakłócał wielkiemu mistrzowi spokój. Inni opowiadali o tym, że siedziba maga jest pusta, a on sam biega po lesie obłąkany i nie może jej odnaleźć. Byli też tacy, którzy uważali, że mag ożenił się z rusałką i wyjechał z Leathien. W sumie wszystkie te opowieści brzmiały tak niedorzecznie, że nie wiadomo, której najlepiej dać wiarę.

Ireth wiązała z tą wizytą duże nadzieje. Pragnęła się wreszcie dowiedzieć, czy naprawdę jest *liletih*. Gdyby mag zgodził się ją

przebadać, może nawet zaatakować, miałaaby pewność. Wyjeżdżając z zamku w Antis, założyła, że Geruth miała rację i jej atak bólu rzeczywiście był spowodowany mocami Amber. Tkwiło w niej jednak ziarno niepokoju. Ponieważ Geruth była osobą przebiegłą i niewątpliwie złośliwą, nie chciała z nią wchodzić w dalsze dysputy. Argosowi zawierzy chętniej, bo pomimo przedziwnych historii na jego temat był elfem z jej rodzinnego Leathien i trzymał się z dala od zawirowań politycznych czy gierk towarzyskich. Chciała ponad wszelką miarę spojrzeć na sprawę z dystansu. Geruth mogła mieć atak z wielu przyczyn, mag zaś wydawał jej się nawet z opisu bardziej szczerzy i wiarygodny.

Jechała z ojcem strzeżem w strzeżem – on na gniadej klaczy rasy Areth, ona na ivardzkim wałachu. Rozglądała się ciekawie po okolicy, przysłuchując się, o czym rozmawiają drzewa. Były jednak małomówne. Witały nadjeżdżające elfy i bacznie im się przypatrywały. Wymieniały między sobą informacje o zwierzętach biegających po lesie i ciepłej pogodzie. Amber włożyła tego dnia spodnie i zwiewną tunikę odsłaniającą ramiona. Włosy spłotła w warkocz i spięła srebrną klamrą w kształcie róży. Czuła się bardzo dobrze, gdyż wreszcie miała coś do zrobienia. Bezczynność elfów ją przytłaczała. Na polowania jeździły rzadko, tylko gdy potrzebowały mięsa, sporo ćwiczyły się w walce mieczem bądź w strzelaniu z łuku, choć Amber nie bardzo wiedziała po co, skoro i tak zamierzały stać z boku i przyglądać się wojnie z bezpiecznej odległości. Inne ich zajęcia, jak rozprawianie o biżuterii, rzeźbiarstwie czy wegetacji roślin, były jej dalekie, co stanowiło dla niej kolejne potwierdzenie, iż jest wybrykiem natury. Czasem jej się wydawało, że wszyscy źle zinterpretowali to jej długie czerpanie z drzewa Uk. Może święte drzewo wcale nie obdarowywało jej w tamtej chwili mocą i wiedzą, tylko rozważało uśmiercenie jej

jako odmienca? Może to wyczuwanie magii miało ją zaprowadzić do jakiegoś zdolnego maga, który skończy jej żywot w prosty i szybki sposób? Może to nie ma nic wspólnego z bogami, misją ani przeznaczeniem? Chyba że jej przeznaczeniem jest właśnie tak umrzeć. Jakby się zastanović, nie byłoby to takie bez sensu. Zmierzała w końcu do wielkiego maga.

Ukradkiem wysunęła miecz z pochwy i przyjrzała się znakom, ale tkwiły tam niezmienione. Najwyraźniej nie miał jej jeszcze nic do powiedzenia. Zastanowiła się, dlaczego to wszystko ją spotyka. Gdyby pozostała w rodzinie elfów, nigdy nie zaznałaby człowieczeństwa i nie spotkałoby jej tyle dobrego i złego. Nigdy nie pokochałaby swoich ludzkich rodziców i rodzeństwa z Runden, nie poznałaby ludzkich trosk, nie nauczyłaby się empatii i wyrozumiałości. Równocześnie jednak nigdy nie byłoby jej głupio z powodu cynicznego podejścia do życia, nie wpłatałaby się w krótkotrwałe związki z ludźmi czy elfami, a już na pewno nie zakochałaby się w ivardzkim szpiegu, uważając go za najwspanialszego człowieka pod słońcem. To ostatnie wydarzenie spaliło ją od środka, pozostawiając w niej zgłiszczą i chęć mordu. Tkwiło w niej tak wiele sprzeczności, że już nawet sama się w nich gubiła. Siekła Ivardczyków, ile mogła, ale Geryta w Febste było jej szkoda. Kwiat datury wytatuowany na ręce tak wiele zmieniał, teraz i wtedy, w Antis. Był to piękny kształt, a tak bardzo znienawidzony. Amber wiedziała, że jeśli przyjdzie jej stanąć naprzeciwko Orfena na polu walki, nie będzie miała wyboru i go zabije. Czuła, że będzie to jednocześnie moment, kiedy da się sama zabić, ale jakoś nie rodziło to w niej buntu. *Będzie, co ma być* – powtarzała sobie. *Ważne, by pozostać sobą, za wszelką cenę.*

– Ireth, hej! – odezwał się Ithiel, trącając jej ramię.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Słucham – odparła.

– Odpowiedz.

– Na co?

– Zadałem ci przed chwilą pytanie – wyjaśnił i uśmiechnął się wesoło. – Gdzie byłaś myślami?

– Daleko, a zarazem całkiem blisko. O co mnie pytałeś, ojcze?

– Pytałem, czy pamiętasz, jak tędy jechaliśmy na polowanie pięć lat temu.

– Tak, pamiętam. Rozpadało się po południu.

– Pamiętasz, co upolowałaś?

– Chyba sarnę, tak?

– To również. A pamiętasz tego samotnego wilka, który nam wtedy przebiegł drogę?

Zamyśliła się. Jej przebiegł drogę. Już prawie o tym zapomniała. Był szary z ciemną pręgą. Gdy ją zobaczył, przystanął. Luf prychnął na niego ostrzegawczo, ale wilk nadal jej się przyglądał. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, wilk podkulił ogon i zniknął w gąszczu. Miał żółte, rozumne oczy. Wtedy nie zrobiło to na niej wrażenia, ale teraz pomyślała, że to dziwne. Wilk się jej przestraszył. Może bał się elfów, a może miał jakiś inny, tylko sobie znany powód.

– Czy myślisz, że się mnie złąkł? – zapytała.

– Albo chciał ci coś powiedzieć. O, to chyba było tu. – Wskazał ręką na przestrzeń obok starego dębu. Rosły pod nim konwalie. Amber omiotła wzrokiem okolicę, ale kwiaty znajdowały się tylko tutaj. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy to przypadek.

– Zaczekaj.

Zsiadła z konia i podeszła do konwalii. Przykucnęła i przeczesła je dłonią.

– Wiesz, że żadne inne kwiaty nie pachną podobnie do nich? – zagadnęła.

– Więc są bardzo wyjątkowe. – Ithiel się uśmiechnął.

Amber urwała pięć gałązek i nagle poczuła stado mrówek przebiegających jej po karku. Zachwiała się, dotykając skóry w tamtym miejscu. Była ciepła i gładka.

– Co się stało? – zaniepokoił się Ithiel.

– Nic, jedźmy – odpowiedziała, wkładając sobie konwalie za uszy.



Trzeciego dnia podróży dotarli do zarośniętej ścieżki, która niewątpliwie za dawnych czasów była szeroka i prowadziła do domostwa Argosa. Las wydawał się tu bujniejszy, ale też bardziej dziki, a drzewa – mało rozmowne. Zwierząt także napotykali mniej. Mimowolnie zaczęli wyglądać szalonego maga błakającego się po lesie. Nie spotkali go, ale za to musieli jechać z pochylonymi głowami, gdyż gałęzie drzew zwisały nisko nad dróżką i nietrudno było o zadrapanie czy nawet guza. Po pewnym czasie ścieżka zrobiła się wąska, toteż jechali jedno za drugim. W głębi było chłodniej i ciemniej, więc wyteżali wzrok, przytulając się do ciepłych szyi koni. Ivardzki rumak starał się zachowywać posłusznie i iść do przodu, ale stawiał nogi sztywno, pewnie ze strachu, gotowy w każdej chwili uskoczyć przed czyhającym niebezpieczeństwem. Klacz Areth szła dziarsko i odważnie. *Różnice gatunkowe* – skomentowała w myślach Amber.

W końcu wyjechali z krzaków i dróżka się poszerzyła. Znowu mogli jechać koło siebie. Ich oczom ukazał się mały zameczek z bramą i wieżą podobną do tej, którą elfka widziała w Teadwen. Budowla musiała być co najmniej tak samo stara. Cała obrosła bluszczem, ale wyglądała na trwałą, choć niekoniecznie zamieszkaną. Mogło to być tylko zamierzone złudzenie, więc podjechali

bliżej. Stanęli przed bramą, ale nikt im nie wyszedł na spotkanie. Kiedy Amber już miała zsiąść z konia i spróbować otworzyć wrota, z lasu wyszło nagle pięć wilków. Jej wałach zareagował natychmiast. Szarpnął głową, gotowy puścić się galopem przed siebie, ale Amber pociągnęła za wodze i mocno objęła go łydkami. Wyrzucił nogi do tyłu, jednak elfka twardo siedziała w siodle. Zaczął więc podskakiwać w miejscu, na co gniada klacz tylko prychnęła i zagarnęła ziemię kopytem. Zrezygnowany wałach stanął w końcu w miejscu, strzygąc uszami. Ithiel wyjął miecz. Wilki stały nieruchomo, wpatrując się w przybyszy i warcząc. Jeden z nich był szary z czarną pręgą i łudząco przypominał tego, którego spotkała pięć lat temu. Jego żółte ślepia wpatrywały się teraz w nią ze spokojem. Nie warczał. Po chwili elfka zdała sobie sprawę, że wilk wcale nie patrzy na nią, lecz na kwiaty, które miała zatknięte za uchem. Ostrożnie, trzymając mocno wodze lewą ręką, prawą sięgnęła po konwalie. Poczuła mrowienie w karku. Powoli wyjęła kwiaty zza ucha i wtedy wszystkie pięć wilków przestało warczeć. Ithiel zerknął na córkę zaskoczony.

– Co ty... – odezwał się, ale nie skończył.

– Nie wiem, ale to działa – odparła cicho, licząc kwiaty.

Było ich tyle samo co wilków. Kiedy wyciągnęła przed siebie bukiet, wilki przysiadły i zapiszczały. Nagle brama za nimi się otworzyła i ukazał się w niej biały wilk. Serce Amber zabiło szybciej. Działy się dziwne rzeczy. Wyglądał tak samo jak ten, którego widziała – jak wtedy uznała – we śnie podczas przeprawy przez przełęcz Krakt, kiedy nocowali w szczelinie skalnej. Wtedy Fidelis mówił o wilkoduchach.

Biały wilk szedł spokojnie w ich stronę, niemal rosnąc im w oczach. Jego żółte ślepia pociemniały, pysk się skrócił. Stanął na tylnych łapach, nadal idąc ku nim, i rozpostarł przednie niczym

ramiona. Po chwili wyłoniły się z nich cztery palce i kciuk, a białe futro zaczęło się mienić i łudząco przypominać atlas. Wilk szarpnął głową i na jej szczycie pojawiły się mocno potargane, długie jasne włosy. Sierść znikła z pyska, a na jej miejscu ukazała się gładka, jasna skóra z delikatnymi zmarszczkami. Wreszcie na tylnych łapach pojawiły się białe skórzane buty. Oto stał przed nimi stary elf, piękny w swym majestacie, o groźnym i surowym obliczu. Mag Argos.

– Brawo. – Klasnął w ręce, ale nie był rozbawiony. – Konwalie złagodziły moje wilki. Czego chcecie?

– Potrzebujemy twojej rady, Argosie – odpowiedział Ithiel.

Amber dała ojcu znak, by nic więcej nie mówił. Przyglądała się magowi przenikliwie i powiedziała:

– Chyba wiesz, po co tu jesteśmy. Nie spotykamy się pierwszy raz.

Argos wydał wargi z niezadowolenia. Ithiel spojrzał na córkę pytająco.

– Nie zawsze śnimy we śnie, biały wilku – dokończyła Amber, nie spuszczać wzroku z maga.

– Cóż – odezwał się w końcu Argos. – Nie muszę wam niczego mówić.

– Nie musisz – zgodziła się Amber – ale chcesz. Przecież sam jesteś ciekaw, co z tego wyniknie.

Mag zacisnął usta. Przez chwilę przeskakiwał wzrokiem z Amber na Ithiela i z powrotem, aż machnął ręką i powiedział:

– No dobrze, chodźcie. Ale ostrzegam, nie znam odpowiedzi na wasze pytania.

Amber i Ithiel zsiadli z koni.

– Wystarczy jedna odpowiedź – odparł Ithiel.

Mag zerknął na niego przez ramię, po czym gwizdnął na pięć wilków. Zwierzęta się jednak nie ruszyły. Wywrócił oczami i zwrócił się do elfki:

– No tak, masz magiczne elethale. Czy możesz im kazać iść za nami?

Amber zrobiła zdziwioną minę.

– Teraz ty jesteś ich panią – wyjaśnił, wskazując na konwalie.

Elfka obróciła się w stronę wilków. Siedziały urzeczone jej widokiem. *Świetnie* – pomyślała – *mam psy*. Wilki jakby na jakiś znak zamerdały ogonami. *One mnie słyszą* – dotarło do niej, a ten z czarną pręgą zaskowyczał.

– Teran lubi cię najbardziej – burknął niezadowolony mag.

Chodźcie – pomyślała Amber i zwierzęta poderwały się z miejsca.

Mury zameczku wydawały się solidne, choć sam dziedziniec porastały chwasty. Niektóre z nich kwitły na biało lub różowo. Nieskazitelna biel szaty Argosa mocno kontrastowała z zaniedbanym wizerunkiem budynku. Szedł szybko, nie patrząc za siebie, czasem kiwając głową na boki, jak to czynią wilki. Widocznie tak często przyjmował postać białego wilka, że przejął zwierzęce nawyki. *Ciekawe, czy wyje do księżyca* – zastanowiła się elfka.

Kiedy Argos przekroczył próg zameczku, Amber i Ithiel przywiązali swe konie do drewnianej poręczy o wątpliwej wytrzymałości. Bardziej stanowiła dla kopytnych barierę psychiczną, niż rzeczywiście by wytrzymała ich napór, gdyby zechciały się zerwać. A na to miał ochotę zwłaszcza wałach, który łupał przestraszony na elfkę.

Weszli za magiem do ciemnego pomieszczenia. Amber zauważyła, że wilki zostały na zewnątrz.

– Dlaczego nie weszły za mną? – Wskazała na zwierzęta.

– Nie wolno im tu wchodzić.

– Powiesz mi, jak to działa?

Argos westchnął.

– Zawsze jesteś taka niecierpliwa?

– A ty często dajesz się zdemaskować?

Mag zmarszczył nos niczym wilk.

– Nie wiem, czy cię lubię – wycedził.

– Pewnie coraz mniej. – Wyszczrzyła się. – Więc co to za kwiatki?

– Magiczne elethale, konwalie skrzyżowane z wilczomlecem.

– Pachną mniej intensywnie niż zwykłe konwalie.

– Ale są bardziej trujące. – Mag się uśmiechnął. – Pokaż dłonie.

Elfka wyciągnęła przed siebie dłonie. Mag pochylił się nad nimi, by się lepiej przyjrzeć, a potem cmoknął.

– No, no, proszę – zawołał. – Ani śladu. Powinnaś mieć bąble.

– Przykro mi, że cię zawiodłam.

Podniósł na nią wzrok.

– Niebieskooka córka elfa – wymamrotał. – Jeśli jesteś tym, kim myślisz, to mnie nie zawiedziesz. A jeśli jesteś tym, kim myślę, to nawet mnie ucieszysz. Siadajcie i przejdźmy od razu do rzeczy.

Pośrodku ascetycznie urządzonej komnaty wisiał stół – wisiał dosłownie, w powietrzu, nie mając nóg. Był to właściwie sam blat. Obok niego unosiły się stołki z siedziskami na wysokości połowy ud. Ithiel i Amber usiedli ostrożnie. Elfka przymknęła oczy, ciągle czuła bowiem mrowienie w karku. Mag nie spuszczał z niej wzroku.

– Czy chcecie coś zjeść? Albo pić? – zaproponował.

– Nie, dziękujemy – odparł Ithiel. – Chcemy porozmawiać o *liletih*.

– I o tych kwiatkach, elethalach – dodała Amber, nie otwierając oczu. – I czy mógłbyś trochę zapanować nad burzą magiskier w swoim ciele? Oddychać bardziej miarowo czy coś? Trudno mi się skupić z tymi mrówkami na karku.

– Co chcecie wiedzieć o *liletih*? – zapytał niespieszony na pozór dziwną prośbą elfki.

Mimo że się nie poruszył, mrowienie w jej karku zmalowało. Otworzyła oczy i wyprostowała głowę.

– Przede wszystkim czy nią jestem.

– Jesteś czy nie, jakie to ma znaczenie?

– Powinnam wiedzieć.

– Po co? – Przyglądał jej się uważnie.

– Nie rozumiem. Jestem nią czy nie?

– A chcesz być?

To proste pytanie zadźwięczało jej w uszach. W sumie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie lubiła rozważać rzeczy, które od niej nie zależały. Jej umiejętności albo w niej były, albo nie. Po co to roztrząsać? Gdyby jednak mogła o tym zadecydować, przyszło jej na myśl, że wołałaby być zwyczajna, wołałaby być typową elfką, umiejacą wykonywać piękne hafty, grać na harfie lub tańczyć, i nieprzejmującą się losem ludzi ani innych stworzeń zamieszkujących Wereldę. Wołałaby pasować do swojej rodziny i nie tęsknić za rzeczami nierealnymi. Potem jednak zrobiło jej się wstyd, że tak pomyślała. Na jej policzki wypłynęły rumieńce. Była taka, jaką ukształtowało ją jej życie, jej unikatowe doświadczenia i pragnienia. To one ubarwiały jej żywot, to one czyniły go ciekawszym od losu przeciętnego elfa, to one nadawały mu sens.

– Jeśli ta umiejętność pomoże mi pokonać Ivard, to chcę – oznajmiła dobitnie.

– To byłoby niezwykle – odparł Argos.

– Jak można nabrać pewności? – zapytał Ithiel.

– Musiałby ją zaatakować mag.

– Czy więc mógłbyś? – spytała nieśmiało Amber.

Argos spojrzał na nią przenikliwie, po czym zbliżył się do niej, wciągając powietrze. W tej czynności przypominał wilka obwąchującego nowego członka watahy. Amber znów poczuła mrowienie

w karku. Mag przymknął powieki, nie przestając węszyć. Mrowienie przeszło niemal w lekki ból. Wreszcie chrząknął i otworzył oczy.

– Dzięki magiskrom widzimy istoty żywe, jakby były plastyczną masą. Często po zamknięciu oczu czujemy ich ciepło i podatność na działanie magii. Jeśli są niemagiczne, to są pustą, ciepłą mieszanką kości, ciała i wnętrzości. Czasem mają kolory i dziwne kształty.

Elfka drgnęła.

– Ciebie widzę jako świecący punkt w kolorze indygo – zakończył.

– Co to znaczy?

– To dosyć dziwne, ale bardziej cię czuję, niż widzę. Taki zimny głaz pośrodku pustyni.

– W kolorze indygo?

Skinął głową.

– Dopóki tego nie zrozumiem, nie podejmę się próby ataku. Któres z nas mogłoby przez omyłkę zginąć.

– Co więc mamy zrobić? – zapytał Ithiel.

– Na gorze jest komnata. Udajcie się tam na spoczynek, a ja pomyślę.

Amber zauważyła jakąś zmianę. Mrowienie w karku ustało, ale nadal czuła się dziwnie. Mag pstryknął palcami i na blacie wyładowały półmisek z kaszą jaglaną na słodko z rodzynkami i orzechami oraz napar Yud.

– Smacznego – powiedział i wyszedł przez boczne drzwi.

Amber i Ithiel nałożyli sobie w milczeniu jedzenie i skosztowali naparu. Był bardzo słodki. Przeżuwając kolejne kęsy kaszy, Amber przypomniała sobie wszystkie opowieści o magu Argosie. Mówiono o siedmiu wilkach; tu spotkali ich pięć plus białe wilcze wcielenie maga. Nie było za to ani śladu żony rusałki. Obłąkania

Argosa elfka nie mogła jeszcze do końca wykluczyć. Jeśli jednak jej myśli rzeczywiście słyszało teraz pięć wilków, powinna się mieć na baczności albo...

– Ojczy, zjrzę na moment do koni – powiedziała do wchodzącego po schodach Ithiela.

Kiwnął głową.

Tymczasem Amber wyszła na zewnątrz. Pięć wilków leżało przed wejściem. Na jej widok uniosły głowy. W ciemnościach ich oczy świeciły. Elfka się skupiła, by przekazać zwierzętom wiadomość. Kiedy weszła z powrotem do środka, wpadła na maga.

– Myślałam, że poszedłeś rozmyślać – powiedziała.

– Już pomyślałem, Ireth.

– Nie mówiłam, jak mam na imię.

Mag uśmiechnął się sztucznie, trochę speszony. Nagle poczuła ukłucie w brzuchu, jakby strzała ugodziła ją w sam środek ciała. Potem cały pokój zawirował jej przed oczami, stołki i blat przybrały nieokreślone kształty i rozmyły się pod sufitem. Mag stał przed nią biały jak płótno, po czym zaczął się kurczyć. Twarz na nowo pokryła się sierścią, nos wydłużył, cztery łapy miękko opadły na posadzkę. Żółte oczy wpatrywały się w nią, a dookoła tańczyły kamienie, z których zbudowano ścianę komnaty. Nagle wszystko się zatrzymało, po czym zawirowało w przeciwnym kierunku i Amber upadła bezwładnie na podłogę.



Po jej policzku przesunęło się coś ciepłego i wilgotnego. Po chwili przesunęło się ponownie, a z oddali doszedł ją pomruk. Czowała, jakby położono jej na powiekach odważniki. Do jej uszu dotarło ciche piszczenie. Ruszyła ręką i napotkała szorstkie futro. Serce

zabiło jej mocniej. Zmusiła się do otwarcia oczu. Świat zawirował, aż ją zemdliło. Uniosła ponownie tylko lewą powiekę. Kręcący się pokój po chwili stanął w miejscu. Powtórzyła ten manewr z prawą powieką. Zerknęła w bok. Siedział przy niej wilk z czarną pręgą, Teran. Pomyślała, że chciałaby wstać, a wilk od razu podłożył pysk pod jej plecy i delikatnie popchnął. Wsparła się na nim i usiadła. Ktoś ją położył na podłodze w niewielkiej komnacie z dwoma łózkami i małym oknem. Usiłowała sobie przypomnieć, co się stało, ale jeszcze kręciło się jej w głowie. Przyjechali do maga Argosa, były wilki, rozmawiali o *liletih*, potem zjedli jagły i mag znów się zamienił w wilka. Ale dlaczego upadła? Napar Yud! Niemal krzyknęła. Mag im czegoś dołał. Im... Gdzie ojciec?

Z trudem opanowując mdłości, rozejrzała się po pokoju. Okazało się, że Ithiel leżał obok. Amber wsłuchiwała się w jego oddech. Żył i miarowo oddychał, jakby spał. Podpierając się jedną ręką o podłogę, Amber szturchnęła ojca, ale spał bardzo mocno. Widocznie był jeszcze pod działaniem trucizny. Wzięła głęboki oddech i powoli wstała. Nie był to dobry pomysł. Świat zawirował w szaleńczym tempie, wahał się kilkakrotnie, po czym zbulgotało jej w żołądku. Zgięła się wpół i zwymiotowała. Kiedy uspokoiła oddech, zauważyła, że pokój się ustabilizował. Na dworze panował mrok, tylko nieśmiałe światło księżyca sączyło się przez okienko do środka. Dostrzegła, że nie ma u pasa miecza. Usiłowała wymacać go na podłodze, lecz go nie znalazła. Cicho zakłęta. Podeszła do Ithiela. Ojcu miecz zostawiono, więc odpięła go od jego pasa i skierowała się do drzwi. Były oczywiście zamknięte. Wymacała skobel, po czym owinąwszy go zdjętą z siebie tuniką w celu stłumienia dźwięku, z całej siły rąbnęła rękojeścią miecza w zamek. Puścił natychmiast. Wciągnęła tunikę z powrotem i rozkazała wilkowi czuwać przy ojcu, a sama zeszła schodami na parter.

W zamczku panowała cisza. Zauważyła, że nieoświetlone schody skrzypiały pośrodku, więc szła przy ścianie, czujnie wypatrując Argosa. W sali na parterze stół i stołki leniwie unosiły się w powietrzu, a na blacie stał imbryk z resztką chłodnego już naparu Yud. Amber wzięła go wolną ręką, a w prawej poprawiła uścisk na rękojeści miecza. Szła powoli, bezszelestnie stąpając po posadzce. Jedne z bocznych drzwi były niedomknięte i dochodziło zza nich szuranie. Amber uchyliła je ostrożnie, unosząc nieco w zawiasach, by zapobiec ewentualnemu skrzypieniu. Udało się. Za skrzydłem znajdowały się schody w górę, prawdopodobnie na wieżę. Wślizgnęła się po cichu na pierwszy stopień, a potem pokonała kolejnych czterdzieści. Schody prowadziły rzeczywiście na szczyt wieży oraz do laboratorium maga. Zajrzała przez dziurkę od klucza. Argos pochylał się nad czymś srebrnym – Amber była pewna, że to jej miecz. Kolejny raz wzmocniła chwyt na rękojeści i wtargnęła do komnaty. Zaskoczony mag wypuścił z dłoni szkło powiększające, a to upadło na podłogę i rozbiło się na wiele kawałków.

– Szkoda – powiedziała Amber – taki cenny przedmiot. A ty lubisz cenne przedmioty, jak widzę. Niekoniecznie swoje.

– Ireth... Ja naprawdę...

– No właśnie, znasz moje imię. O tym też musimy porozmawiać. Może przy herbatce? – Wskazała na imbryk. – Mówię ci, robi wrażenie.

– Spróbujmy się nie denerwować. Wszystko wyjaśnię.

– Zapewne. Tylko czy powiesz prawdę?

– Musiałem was uspić, żeby pomyśleć.

– Oczywiście. I udało się?

– Właściwie tak.

– Dlaczego zabrałeś mój miecz?

– To arcyciekawy przedmiot.

– Jeśli chciałeś pooglądać, wystarczyło ładnie poprosić. I trzeba było też zabrać miecz ojcu.

– Chciałem, ale Teran złamał mój zakaz i wszedł do waszej komnaty warować. Chciał się na mnie rzucić.

– A to wierna psina. – Cmoknęła. – To co? Rzucisz teraz chyba na mnie zaklęcie? Na co czekasz? Stoję w twoim laboratorium z mieczem w dłoni, strasznie wkurzona. Chyba jestem wystarczająco niebezpieczna?

– Nie, nie rzucę.

– No dalej. Chyba nie wierzysz, że mogę ci zaszkodzić.

Ku zdziwieniu Amber mag nie miał zamiaru się bronić magią. Nie czekała, aż wymyśli coś innego. Dосkoczyła do niego, zgrabnym ruchem świsnęła mieczem w powietrzu i powalając jednym kopniakiem Argosa na podłogę, przyłożyła mu miecz do gardła.

– Co wrzuciłeś do naparu Yud? Mów!

– Jaskier – wybełkotał.

– Więc cię raczej nie zabije. Na zdrowie!

To mówiąc, otworzyła mu usta i choć się bronił rękami, wlała mu resztę naparu do gardła.



– Nic z tego nie rozumiem. – Ithiel pokręcił głową, patrząc na związanego maga.

Argos siedział z bardzo niezadowoloną miną, dokładnie owinięty sznurem. Na wszelki wypadek Amber starała się stać pomiędzy nim a ojcem. Mag bowiem nie mógł ruszać rękami i został zakneblowany, ale na pewno był w stanie znaleźć jakiś sposób, by się oswobodzić przy sprzyjającej okazji.

Ithiel ocknął się trzy godziny temu. Czuwał przy nim Teran. Zszedł na dół, trzymając się blisko ściany, by się wesprzeć. Prowadzony przez wilka na wieżę znalazł córkę zawiązującą ciasno sznur wokół śpiącego jeszcze Argosa. Musiała mu wszystko wytłumaczyć, ponieważ zapamiętał jedynie rozmazujące się kształty, gdy dotarł do przygotowanej dla nich komnaty.

– Wygląda na to, że pan mag do czegoś potrzebuje mojego miecza. Był nim żywo zainteresowany.

Argos łypnął na elfkę.

– Jak się spało? – spytała, patrząc mu w oczy. – Porozmawiamy?

Zrobił obrażoną minę i odwrócił ostentacyjnie głowę w drugą stronę.

– Argosie, grzeczności i poczęstunek mamy za sobą. Może przejdziemy do konkretów? – Zbliżyła się do maga i pochyliła nad nim. – Wyjmę ci szmatę z ust, ale przysięgam, że jeśli spróbujesz jakiegś sztuczki, osobiście cię przebiję moim arcyciekawym mieczem. Zrozumiałeś?

Nie zareagował, więc przysunęła mu ostrze pod gardło i powtórzyła:

– Zrozumiałeś?!

Skierował wzrok na klingę i kiwnął niechętnie głową. Amber wyjęła zwitek szmat z jego ust, a gdy to zrobiła, splunął na podłogę.

– No dobrze, może po kolei: po co ci mój miecz? – zapytała.

– Już mówiłem. Jest ciekawy. – Mag kaszlnął.

– Ciekawe to są bajki dla dzieci. Po co ci mój miecz?

– Czy mogę prosić o wodę?

– Właściwie to nie możesz. Odpowiadaj na pytanie.

– Nie będę z tobą o tym rozmawiał.

– Argosie, chyba jednak nie rozumiesz. Nie będziemy mieć skrupułów, by cię skrzywdzić, bo i ty ich nie miałeś. Już zabijałam

elfy wcześniej, uwierz mi, nie zawaham się i tym razem. Mam już dosyć tych gier. Przyjechałam tu, by się dowiedzieć prawdy i się dowiem.

– Nie sądzę – wycedził mag.

– Cóż. – Amber zwróciła się do ojca: – Chyba nie jest nam potrzebny. Zostawmy go tu więc i jedźmy.

– Masz rację, nic tu po nas.

Ithiel wstał i ruszył do drzwi, a za nim podążyła Amber, szczerze nie go osłaniając.

– Czekajcie, rozwiążcie mnie! – krzyknął Argos.

– Nie sądzę – odparła elfka.

Gdy byli już przy drzwiach, mag zawołał rzewnym tonem:

– Muszę komuś oddać miecz *mesthi!* W zamian za życie mojej

Mildy.

Zatrzymali się.

– Kim jest Milda? – spytał Ithiel.

– Moją ukochaną.

– Rusalką? – odezwała się Amber.

– Tak. Powiem wam, co chcecie, ale mnie tu nie zostawiajcie.

Jeśli mnie tu znajdą bez miecza, niechybnie zabiją.

– Kto? Kto cię zabije?

– Jego służące. Harpie.

Amber nigdy nie widziała tych istot, jedynie na starych rycinach. Nie budziły sympatii.

– Komu służą?

– Och – westchnął Argos.

Wrócili i podeszli do niego. Miał teraz zrezygnowaną minę i łagodne spojrzenie. Amber podała mu wodę. Wypił łapczywie.

– Jaskier strasznie odwadnia – wymamrotał.

– Mów – rozkazała.

– Na północno-zachodnim wybrzeżu jest kamienna twierdza Hrad-kée zbudowana w zamierzchłych czasach nad brzegiem Morza Cienistego. Mieszka w niej pewien potężny elf, który pamięta czasy, gdy w Dolinie Domerth mieszkał Asyth ze swoim dworem. Choć nigdy nie wypowiedział przy mnie swojego imienia, budzi grozę już samym wyglądem, a gdy mówi, jakby tysiąc igieł wbijało się w ucho. Może mam wrażliwy słuch, bo za często zamieniam się w wilka, a może tak jest naprawdę. W każdym razie zimą wpadł tu ze swoimi harpiami i zabrał moją Mildę. Powiedział, że pewna niebieskooka elfka dysponuje szczególnym mieczem *mesthi*. Jeśli jej go odbiorę, zwróci mi moją rusałkę. Chciałem porozmawiać o tym z Omrathem, jest w końcu Elfem Wysokim, z Hethielem nie dogaduję się ostatnio zbyt dobrze, więc pobiegłem do Kamiennego Miasta. Mieli tam jakieś straszne zamieszanie związane z jednym z książąt, Vivelinem. Gdy wracałem zrezygnowany do Leathien, natknąłem się na grupkę ludzi i elfów. Jedna elfka miała miecz *mesthi*.

– Szliśmy przez przełęcz Krakt. Śledziłeś mnie.

– Tak, ale zniknąłeś mi z oczu, gdy utknęłaś w Antis. Wtedy tu wróciłem, nie licząc na kolejną szansę.

– Skąd o mnie wie?

– Tego też nie wiem. Pomyślałem, że już nigdy nie odzyskam Mildy, ale kiedy was zobaczyłem...

– Po co temu elfowi *mesthi*? – wtrącił się Ithiel.

– Nie powiedział, ale pofatygował się tu na rozmowę osobiście, więc musi być dla niego ważny.

– Co więc zamierzałeś z nami zrobić? – Amber spojrzała na niego przenikliwie.

Mag pochylił głowę.

– Więzić przez jakiś czas. Nie jestem mordercą. Chciałem się czegoś o tobie dowiedzieć.

– Po to musiałeś się zamienić w wilka?

– Musiałem, ale nie pomogło. – W jego oczach coś błysnęło. – I dobrze wiesz dlaczego.

– Mój rozkaz podziałał? – Elfka się uśmiechnęła.

– Wiedziałaś, że wilki słyszą twoje myśli, więc kazałaś im nic mi nie mówić. I milczą, psy jedne. Nie powiedziały nic, nawet gdy się stałem jednym z nich.

– Dlaczego mnie tak słuchają?

– Jesteś *elethale drea*, ta, która zerwała magiczne kwiaty – westchnął.

– Czyli?

– Gdybyś nie miała magicznych mocy, nie mogłabyś ich urwać.

– Więc to nie dlatego, że mam je teraz przy sobie?

– Nie, możesz je wyrzucić, a wilki i tak będą ci posłuszne. Już na zawsze.

– Często spotykasz takie elfy?

– Ireth, jesteś pierwsza. Dlatego wierzę, że elf z twierdzy Hrad-kée musiał przewidzieć właśnie twoją wizytę.

– I nie przyszło ci do głowy – odezwał się Ithiel – że ktoś tak wyjątkowy jak moja córka może mieć wpływ nawet na los Werel-dy? I że jeśli ją zamkniesz u siebie, to wpłyniesz na zagładę elfów, ludzi i innych istot?

Amber wybałuszyła na ojca oczy. Według niej dokonał nadinterpretacji jej zdolności. Mag przez dłuższą chwilę milczał, po czym spojrzał na Ithiela. Elfka napięła mięśnie gotowa zasłonić ojca przed jakąś magiczną sztuczką. Tymczasem Argos przemówił:

– Tak, przyszło mi do głowy. Ale czy byłeś kiedyś zakochany?

Ithiel długo milczał. Było w tej sytuacji coś tajemniczego. Oto dwa elfy pytały się o miłość w sposób tak wzniosły, co niedorzeczny. Nagle Amber się zastanowiła, czy jej ojciec był zakochany w jej

matce i czy aby właśnie o niej w tej chwili myśli. Wzdrygnęła się na tę refleksję. Jej rodzice tak bardzo się od siebie różnili, a jednak Kenaé przyjechała dla niego do puszczy Leathien, opuściwszy piękne Kamienne Miasto, i urodziła dwie córki. Im dłużej Ithiel milczał, tym bardziej intrygowały ją jego myśli.

– Jesteś pewny, że zabrał ją do Hrad-kée? – zapytał w końcu.

– Tak.

– Co się stanie, jeśli mu nie oddasz miecza?

– Zabije mnie. I ją pewnie też. Ona tak kocha wodę, uwielbia nasze jezioro. Morze jest dla niej jednak zbyt szalone i głośne. Boi się go.

– A jak miałeś mu dostarczyć miecz?

– Powiedział, że przyśle za jakiś czas swoje harpie.

– Mam pomysł – orzekła Amber – ale wymaga obustronnego zaufania.

Argos się skrzywił.

– Ojczy – zwróciła się do Ithiela – czy jesteś gotów poświęcić swój miecz dla uratowania życia tego maga i jego rusalki?

Ithiel się zawahał.

– Ten miecz wykuł dla mnie przyjaciel Dundla. Czy wiesz, o co prosisz?

– Wiem, ale czyż nie żal ci tego elfa?

– Co chcesz zrobić?

– Nasze miecze są bardzo podobne. Rozgrzejemy znów stal i wyryjemy w niej runy podobne do tych na moim mieczu.

– Czym wyryjemy? Nie mamy narzędzi.

– Ale mamy zdolnego maga. Miecz nie będzie zaczarowany, więc nikt nie pozna od razu, że to podróbka. Tyle że nigdy nikomu nie ukaze przeznaczenia.

– Zrobilibyście to dla mnie? – zdziwił się Argos.

Ithiel myślał jeszcze przez chwilę, po czym powoli wyjął lśniąca klingę z pochwy i pogładził ją dłonią. Zapewne przemknęły mu przed oczami wszystkie bitwy, w których wziął udział, i te wszystkie razy, kiedy to ostrze uratowało mu życie. Zawsze mu wiernie służyło w słusznej sprawie.

– *Te ave luthi* – wyszeptał, po czym położył miecz na stole. Amber przecięła więzy maga i gruby sznur opadł na posadzkę. Elfka natychmiast poczuła mrowienie w karku.

– Tylko bez numerów – zasyczała.

Mag wstał, poprawił opaskę na włosach i wyprostowany wyszedł z komnaty. Stojąc już na korytarzu, machnął na nich ręką i rzekł:

– Weźcie miecz i chodźcie za mną.



Szli jedno za drugim. Amber stąpała ostrożnie tuż za magiem, rozdzielając tym samym jego i ojca. W milczeniu zeszli na dół i minęli stół. Nie skierowali się potem w górę, lecz zatrzymali przed fragmentem ściany ułożonym z małych kamieni. Mag zastukał w jeden z nich i otworzyły się przed nimi wąskie drzwi. Widać nie korzystano z tego wejścia od dawna, gdyż dookoła wisiały pajęczyny. Z wnętrza pomieszczenia powiało chłodem i zapachem stęchlizny. Amber się zatrzymała.

– Co tam jest? – spytała.

– Piwnica.

– A w niej?

– Wszystko, czego potrzebujemy.

Amber i jej ojciec spojrzeli po sobie.

– Chyba nie mamy wyjścia – wyszeptał Ithiel.

Elfka skinęła głową i przestąpiła próg. W mroku usłyszeli pstryknięcie palcami i wzdłuż ścian zapaliły się świece. Korytarz nabrał przyjaźniejszego wyglądu. Po kilku schodach znaleźli się w niedużej komnacie pełnej regałów z książkami i flakoników o przeróżnych kolorach. Amber widziała podobne mikstury u Ruty, ale tych tutaj było pięć razy tyle. Mag miał w podziemiach spore zapasy. Wszystkie butelki podpisano, a większość z nich stała zakurzona. Rozejrzeli się po sali. Ich wzrok przykuła ogromna beczka stojąca w kącie.

– To akurat wino – wyjaśnił Argos, uśmiechając się pierwszy raz od przebudzenia. – Chodźcie, musimy iść dalej.

Zniknął w innym ciemnym kącie pomieszczenia, a gdy pstryknął palcami ponownie, kolejne świece oświetliły wąskie drzwi. Powiedział coś pod nosem i drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Podążyli za nim następnymi schodami. Tym razem jednak korytarz był bardzo wąski i nawet szczupła Amber, aby przejść, musiała odchylić do tyłu miecz u pasa. Ithiel i Argos schodzili bokiem. W końcu dotarli do kresu schodów i mag krzyknął:

– Uwaga!

Pchnął jakiś słabo widoczny przedmiot i coś w otchłani zaskrzypiało. Zazgrzytały łańcuchy, głucho zadudniło drewno. Po chwili wszystko się uciszyło. Amber zauważyła, że mag postąpił krok do przodu i jego biała postać zniknęła. *Wykiwał nas* – pomyślała, ale w tym samym momencie usłyszała jakby uderzenie butami o drewno. Podeszła do krawędzi i spojrzała w dół.

– Na co czekacie? – zapytał Argos.

Stał cały i zdrowy na drewnianej platformie zawieszonej na czterech solidnych łańcuchach. Przez środek przechodziła gruba lina. Trzeba było na ten podest skoczyć, gdyż zatrzymał się poniżej poziomu ostatniego stopnia. Amber i Ithiel zeskoczyli zgrabnie,

a odgłos ich stóp lądujących na deskach wydał się hałasem. Mag rozwiązał supeł na linie i dookoła nich rozległ się zgrzyt łańcuchów odbijający się echem od kamiennych ścian.

– Nikogo poza Mildą tu nie zabrałem – powiedział, gdy platforma się zatrzymała, uderzając o podłogę.

Znowu usłyszeli pstryknięcie i pomieszczenie pojaśniało. Pośrodku ogromnej sali wydrążono małą sadzawkę.

– Tu lubiła odpoczywać moja Milda – powiedział cicho Argos.

Obok jeziora stały pięknie rzeźbione fotele, których mógłby pozazdrościć sam król Hethiel. W rogu tej swoistej komnaty ustawiono ogromne łóże z baldachimem w kolorze morskiej wody. W słabym, migającym świetle świec wyglądało jak nie z tego świata. Po drugiej stronie pomieszczenia stał gigantyczny stół, a na nim aż roiło się od wszelakich przedmiotów.

– Powinniśmy tam znaleźć kowadło – rzekł Argos, zmierzając właśnie w jego kierunku.

Amber i jej ojciec poszli za nim. Nagle Ithiel przystanął i się zamyślił.

– Co tu się stało? – spytał.

Mag się odwrócił i zmarszczył czoło. Miejsce, które wskazał Ithiel, różniło się od całej konstrukcji ściany. Był to fragment wykonany z innego rodzaju kamieni, ułożonych bardzo precyzyjnie. Nie przypominał jednak poprzednich ukrytych drzwi.

– Tędy się tu dostały – wyjaśnił mag. – Harpie się dowiedziały, gdzie mieszkam, i dosłownie wydrapały to wejście.

– Tak zabrały rusałkę? – zdziwił się Ithiel.

– Niestety. – Argos kiwnął głową. – Potem zabudowałem tę dziurę i rzuciłem na nią zaklęcia ochronne. Żałuję, że tak późno.

Amber przyjrzała się zabudowanej wyrwie. Z boku, na jednym ze starych kamieni, widniały trzy długie zadrapania – odciski

pazurów harpii. Musiały się tam dostać, kopiąc pod zamkiem. Elfkę przeszedł dreszcz.

– Dlaczego nie zgłosiłeś tego królowi? – zapytała.

– Uważasz, że przejąłby się losem jakiejś rusalki?

Nie odpowiedziała, ale zrozumiała, w jak beznadziejnej sytuacji Argos się znalazł. W milczeniu obszedł stół i spod sterty naczyń, toporów i narzędzi wyciągnął kilka małych dłut, młot i kowadło kowalskie. Zadowolony przeniósł je w pobliże jeziora i przyknał oczy, wyciągając przed siebie dłonie. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, aż raptem Amber poczuła ukłucie w karku, a spod rąk maga trysnęły setki iskier. Dołożył parę drew, a słup ognia strzelił do góry. Wszyscy się odsunęli.

– Wybaczcie, czasem coś przedobrze – powiedział i z jego palca wskazującego wysunęła się cienka, błękitna iskra. Rozciągnęła się w jakby błękitny sznurek, który oplótł ogień i go zmniejszył.

Po chwili mieli już przed sobą spore ognisko żarzące się żywymi płomieniami.

– Ireth, przyjrzyj się runom – polecił mag, podając jej dłutka. – To będzie twoje zadanie. Ithielu, możesz już podejść z mieczem.

Elf zbliżył się powoli do ogniska i wysunął przed siebie ostrze. Mag go zatrzymał, podał mu rękawice i powiedział:

– Wiedźcie, że jestem wam naprawdę wdzięczny za pomoc, jakiej mi właśnie udzielacie. Nie zasługuję na nią, bo nie potrafiłem być taki prawy. Proszę was o wybaczenie i jeszcze raz dziękuję.

Ithiel skinął głową i rzekł:

– Nie robimy tego dla ciebie, ale dla tej niewinnej istoty, którą los z tobą połączył.

– Źle was potraktowałem. Jeśli jest coś, co mogę dla was zrobić, by się jakoś odwdzińczyć...

– Tak – odparła Amber, przerywając mu. – Jest coś. Zaatakujesz mnie.

Argos westchnął.

– Dobrze – powiedział. – W sumie zasłużyłem sobie na to.

Coś zaskwierczało. To stał zaczęła się topić. Ithiel oparł rozgrzaną do czerwoności klingę na kowadło i wziął w obie dłonie młot. Uderzył kilka razy, a po każdym uderzeniu rozbryzgiwały się dookoła iskry. Kiedy już z powierzchni ostrza zniknął napis „*Te ave luthi*”, Ithiel zaniósł miecz do jeziora i zanurzył go w wodzie. Zasyczało, a nad powierzchnią wody uniósł się w tym miejscu obłok pary. Kiedy wyjął miecz z wody, obejrzał go dokładnie i położył z powrotem na kowadło.

– Minęły lata, od kiedy obserwowałem naszych kowali. Lepiej nie będzie. Przydałaby się jeszcze osełka. Jak się go trochę przeszlifuje, nierówności znikną.

Mag podrapał się po głowie. Wrócił do ogromnego stołu i zaczął przerzucać leżące na nim rzeczy. Dawno nie robił tam porządku, a bałagan nie ułatwiał szukania. Wreszcie krzyknął: „Ha!”, i się pochylił, by coś wyciągnąć spod stosu innych przedmiotów. Po chwili sapnął, zaklął pod nosem, po czym wyszeptał parę słów pochylony nad stołem. Coś z hukiem spadło na podłogę. Argos machnął palcem i osełka przesunęła się po posadzce. Zatrzymała się tuż pod stopami Ithiela. Ten postawił ją do pionu, ale się przewróciła.

– Jest uszkodzona – powiedział z rezygnacją.

– Ma się obracać? – upewnił się mag.

– Zgadza się.

Argos podszedł do przedmiotu, machnął palcem do góry i osełka zawisała w powietrzu. Poruszył ustami, robiąc palcem kółko, i osełka zaczęła się kręcić w szaleńczym tempie.

– Troszkę wolniej, jeśli łaska – odezwał się Ithiel.

Argos się skrzywił. Ponownie machnął palcem, lecz wolniej, i osełka także posłusznie zwolniła. Ithiel przyłożył do niej miecz. Komnatę wypełnił nieprzyjemny dźwięk zgrzytania stali o kamień. Tymczasem Amber przyglądała się swojemu mieczowi, usiłując zapamiętać zawiłości tych kilku run, które nadal nie przekazywały żadnej treści. Wreszcie szlifowanie ucichło, a osełka opadła z hukiem na podłogę. Ithiel przyjrzał się swojemu dziełu.

– Jak dołożysz runy, może da się tego elfa oszukać. – Cmoknął.

Amber wzięła miecz do ręki. Od razu wyczuła różnicę. Był cięższy i trochę dłuższy od jej *mesthi*, ale może ojciec miał słuszność. Położyła na wolnym skrawku stołu miecz i przyłożyła dłuto.

– Potrzebuję więcej światła – powiedziała.

Argos pstryknął trzy razy i na stole stanęły przed nią trzy płonące świece.

– Czy da się załatwić jakieś światło od góry? – spytała.

Za moment jedna ze świec poleciała nad jej głowę i tam się zatrzymała. Amber poczuła mrowienie w karku.

– Czy możesz się teraz odsunąć? – zwróciła się do maga.

Argos w milczeniu usunął się w dalszą część komnaty. Zaprowadził Ithiela do zdobionych foteli i wskazał mu jeden z nich. Elf usiadł ostrożnie. Amber zabrała się do wykuvania run, ale jednym uchem przysłuchiwała się rozmowie elfów.

– Oddałeś mi swój miecz, Ithielu. Podziwiam cię za to. Czym teraz będziesz walczył?

– Poproszę kowali o inny.

– Myślę, że mam coś, co cię zainteresuje.

Mag w stał i po chwili wrócił do Ithiela z podłużnym pudłem. Amber odwróciła się na moment, ale mag nie zachowywał się podejrzanie. Wyglądało na to, że te wszystkie nieprzyjemności rzeczywiście spotkały ich, ponieważ ratował swoją miłość. Teraz

wydawał się nawet zadowolony. Widocznie uwierzył, że podrobiony oręż pozwoli mu odzyskać rusałkę. Jeżeli tamten elf z Hrad-kée nigdy nie widział jej miecza, mógł dać się oszukać. Czy jednak uwolni Mildę? Wydaje się raczej bezwzględny.

– Cóż to? – zapytał Ithiel, wskazując na zawartość pudła.

– Rapier z południa, zza Gór Wąsatych. Kupiłem go kiedyś w Middel, ale nigdy nie zrobiłem z niego użytku. Tobie się teraz bardziej przyda.

– Jest bardzo lekki – zauważył Ithiel, biorąc go do ręki.

– To dzieło wojowników z południa, klanu Trunów.

– To ponoć świetni zabójcy.

– Tobie na pewno posłuży w słusznych sprawach.

– Dziękuję.

– To ja dziękuję.

Amber kończyła właśnie drugą runę. Dłutko było niewielkie, ale bardzo ostre i precyzyjnie ryło wzór. Przyszło jej do głowy, że odkąd wie o mieczu *mesthi*, dzieją się w jej życiu dziwne rzeczy, łącznie z podrabianiem własnej broni. Jeszcze do niedawna była przekonana, iż miecz trafił do niej przypadkiem, a teraz czuła się z nim bardzo związana. Niemal czekała, kiedy ukaże się na nim napis. Trochę się obawiała, że runy przepowiedzą jej śmierć w jakiś straszny, heroiczny sposób, ale miała też nadzieję, że wskażą jej dalszą drogę. W gruncie rzeczy bowiem stała w martwym punkcie. Wróciła do Leathien z pragnieniem przelania swojego cierpienia po rozstaniu z Orfenem na walkę; liczyła, że będzie mogła się z kimś zmierzyć, i to o coś słusznego. Teraz jednak starała się uratować jakąś nieznaną jej rusałkę, narażając się komuś potężnemu, kto najwyraźniej ją zna lub przynajmniej o niej słyszał. Niepokoiło ją to nieco, gdyż nie pamiętała, by twierdząc Hrad-kée ktoś zamieszkiwał. Obecność elfa, który mimo wielu lat życia zachowuje się tak irracjonalnie i porywa

rusałkę, by zdobyć miecz, także nie wróżyła niczego dobrego. Do czego potrzebował ostrza *mesthi*? Skoro jest przeznaczone tylko konkretnej osobie, to przecież nie zobaczyłby w nim swojego losu. Musiał to wiedzieć. Może więc się bał, że Amber odczyta w końcu swoje przeznaczenie? Ale skąd miałby wiedzieć, co tam jest zapisane i że trzeba się tego obawiać? Poza tym nawet jeśli elfka odczyta kiedyś runy, to i tak będzie miała wybór. Co prawda ci, którzy działali wbrew znakom przeznaczenia, najczęściej źle kończyli, ale przecież Amber mogła się zawsze przeznaczeniu przeciwstawić. Nie wiadomo, czy w ogóle zechce wypełnić to, co jest jej rzekomo przeznaczone. Ponieważ tak wielu mówiło jej o *mesthi*, zrozumiała, czym władza, ale nie do końca wierzyła, że jest aż tak wyjątkowa, że to, co zobaczy, odmieni los Wereldy lub choćby jej części. Nadal nie wiedziała też, czy rzeczywiście ma zdolności *liletih*. Mag co prawda bał się ją zaatakować, ale sam też chyba nie miał pewności. Zawsze lepiej zachować ostrożność, jeśli się jest nieśmiertelnym i pojawia się nadzieja na odzyskanie dawnego życia.

Obróciła dłuto i uderzyła delikatnie młoteczką, ryjąc kropkę nad trzecią runą. Obróciła dłuto ponownie i dmuchnęła, a opiółki spadły na stół. Zaiskrzyły w świetle wiszącej świecy. Elfka się uśmiechnęła.

– Skończyłam – oznajmiła.

Elfy wstały, a ona zaniósła im miecz. Argos przyjrzał się nowej klindze. Po chwili ciszy i skupienia uśmiechnął się szeroko.

– Wygląda nieźle – skomentował. – Chodź, Ireth.

Wskazał jej przestrzeń obok jeziora. Machnął ręką i osełka, kowadło oraz młot z trzaskiem przesunęły się po podłodze i uderzyły o ścianę. Potem machnął drugi raz i wesołe płomienie ogniska zniknęły. Pomieszczenie oświetlały teraz tylko świece. Amber zrozumiała, po co to zrobił.

– Posłuchaj, Ireth, to bardzo ważne. Jeśli naprawdę jesteś *lile-tih*, to padnę tu z bólu. Jeśli nie jesteś, ty poczujesz coś paskudnego. Zastosuję małe zakłęcie bojowe, nazywa się Piorun. Pod żadnym pozorem nie podbiegaj do mnie, dopóki wszystko nie ucichnie. W przeciwnym razie, jeśli jesteś *liletih*, twoja bliskość może mnie zabić, a w obecnych okolicznościach chciałbym pożyć. Zakłęcie nie jest silne, więc i ty szybko dojdiesz do siebie. Zaś ty, Ithielu, odsuń się najdalej, jak możesz. Nie pomożesz żadnemu z nas, a tobie może stać się krzywda. Ireth, czy jesteś gotowa?

– Poczekaj – powiedziała. Odepnęła od pasa miecz i podała ojcu. – Chcę mieć pewność, że miecz nie ma na to wpływu.

– Rozumiem – odparł poważnie Ithiel, ale gdy brał od córki broń, zadrżała mu ręka.

Kiedy Ithiel odszedł jeszcze za stół, mag wyciągnął przed siebie prawą rękę i powiedział:

– Jeśli jesteś *liletih*, zmieni się los bardzo wielu istot.

– Zaczynaj, Argosie. Mam już dość tych wielkich słów o czymś, czego nie rozumiem. Dalej.

Mag skinął głową, po czym uspokoił lekko drżącą dłoń i przymknął oczy. Najpierw nie działo się nic, ale po chwili jego palce zaczęły się nieznacznie poruszać, aż zacisnęły się kilkakrotnie pulsacyjnie w pięść. Przy kolejnym zacisku poczuła intensywne mrowienie w karku. Odchyliła lekko głowę do tyłu i odruchowo poszukała dłonią miecza. Nie znalazłszy go, opuściła luźno rękę wzdłuż tułowia gotowa na cios. Oddychała równomiernie. Mrowienie w karku przerodziło się w lekki ból. Coś nagle potwornie huknęło, a hałas spotęgował pogłos panujący w sali. Przed oczami elfki mignęły iskry zbite w kulę i pędzące w jej stronę. Wydawało się jej, że zaraz ją dosięgną i poczuje, jak przeszywają jej ciało, ale nagle wszystko zwolniło. Amber w ułamku sekundy dostrzegła

każdą pojedynczą iskrę w ognistej kuli i zauważyła, że ten nadmiar szczegółów ją wręcz przygniata. Ugięły się pod nią nogi, a ból w karku stawiał się nie do zniesienia. Nagle poczuła, jak pada kolanami na kamienną posadzkę, ale ból w nogach był niczym w porównaniu z gorącą falą, która rozplynęła się w jej piersiach. Pomyślała, że jeśli umiera, to nastąpi to za moment, i przed oczami stanął jej Orfen. Zaciśnęła powieki, a wtedy jakaś nieznana siła wypchnęła z jej płuc całe gorąco i uwolniła ją od jakiegokolwiek cierpienia poza tym w kolanach, który poczuła, gdy padła na podłogę pod ciężarem ataku. Wzięła głęboki oddech, ale nic jej już nie kłuło. Obraz Orfena się rozplynął. Otworzyła oczy. Jednocześnie usłyszała odgłos upadającego elfa. Już w rzeczywistym tempie ujrzała Argosa opadającego bezwładnie na podłogę. Chciała do niego podbiec, więc wstała, ale poprzez huk usłyszała krzyk ojca:

– Nie!!!

Zatrzymała się więc i zamrugwała powiekami, chcąc jak najszybciej ogarnąć to, co się stało. Poruszała szyją w lewo i prawo, ale nie czuła już nie tylko bólu, ale też nawet mrowienia. Kilka świec w komnacie zgasło, a ta wisząca nad stołem spadła, rozlewając po blacie воск. Wszystko ucichło. Ithiel podbiegł do leżącego nieruchomo maga.

– Argosie! – krzyknął. – Ocknij się!

Amber powoli podeszła do elfów.

– Czy on...? – zapytała z przerażeniem.

– Oddycha, ale stracił przytomność.

Ithiel wziął ze stołu stary kubek, nabrał do niego wody z jeziora i wychlustał zawartość na twarz maga. Zimna woda go ocuciła. Otworzył oczy, kaszląc. Miał sińce pod oczami i był blady. Uniósł powoli głowę i spojrzał wyblakłymi oczami na Amber.

– Jesteś... – wymamrotał.

SPIS TREŚCI

Rozdział I.	Puszcza	5
--------------------	----------------------	----------